

STEFAN CHMIELNICKI.

Fipcio w tarapatach

(list do zabobonnych)

Szanowni

wszyscy ci, którzy nie mieliście dotychczas sposobności przekonania się, że wszelkie przesady nie tylko są grzechem, ale i największą głupotą — wam właśnie przedstawiam pana Fipcia Igrekowicza, herbu „zabobonnik“. W minionych czasach pan Fipcio Igrekowicz był bardzo przesądny, ale z tej wady wyleczyły go pewne zdarzenia, o których wam zaraz bezpośrednio opowie. (Oddaję głos panu Fipciowi).

— „Jestem Fipcio — i rzeczywiście wierzyłem kiedyś w zabobony, o czym powyżej wspomniał autor listu. Tę chorobliwą skłonność do przesądów odziedziczyłem po swojej babci, Wciubcikiewiczowej, wraz z parą popsutych okularów, sennikiem i zaszuszoną kocim ogonem, którego noszenie na piersi w okolicach serca miało podobno mieć własność odmładzającą. Nie przekonałem się o tem, gdyż jakiś stary pies, przybłąda i głodomór, połknął mi ten koci amulet, i zdaje mi się, że oprócz niestrawności, żadnych odmładzających skutków nie doznał.

Teraz opiszę wam, w jakich tarapatach znalazłem się kilka razy z powodu przesądów, które inaczej nazywają się zabobonami. Nie będzie to ani zmyślenie, ani przesada — przeciwnie, dużo rzeczy zataję, bo mi doprawdy wstyd się przyznać, że byłem kiedyś taki naiwny i dawałem wiarę bredniom starych nianiek i wiejskich bab, wierzących ślepo w uroki i ich odczynianie.

Zaczęła się cała heca od samego rana. Miałem w tym dniu jechać do stolicy w bardzo ważnej sprawie. Budzik oznajmił mi, że czas wstawać, gdyż spóźnię się na pociąg. Najpierw jednak uprzytomniłem sobie, która noga lewa, a która prawa, by czasem nie wstać „z lewej nogi“, bo to podobno przynosi nieszczęście. Na wspomniane uprzytomnienie straciłem dobrych parę minut, jako że byłem zaspany, poczem energicznie wyskoczyłem z łóżka, starając się dotknąć podłogi najpierw prawą nogą, ale nagle poślizgnąłem się i rymnąłem jak długi na podłogę, aż szyby zadzwoniły w oknach.

— Źle jest, — pomyślałem sobie — wstawać z lewej nogi, lecz gorzej jeszcze z prawej — najlepiej chyba na obydwie.

W ten sposób wyleczyłem się z jednego przesądu. Podniosłem się z podłogi, ubrałem się, umyłem, zjadłem śniadanie i śpieszę na pociąg, gdyż i tak już dużo czasu straciłem. Aliści nie uszedłem jeszcze dwudziestu kroków, spotykam naszego nosiwodę z pełniutkimi wiadrami.

— Dzień dobry! — powiada. — Będzie pan miał dziesięć szczęście, pełno mam wody we wiadrach.

Staliśmy właśnie przy jakimś nowobudującym się domie.

Ucieszyłem się bardzo i dałem staremu złotówkę na piwo za dobrą wrózkę. Nagle nosiwoda wrzasnął:

— Niech pan prędko powtarza: spadnie, nie spadnie, spadnie nie spadnie.

Nie wiedziałem o co chodzi, zacząłem jednak śpiesznie powtarzać: spadnie, nie spadnie... zamiast zorządować się w sytuacji. W tem pociemniało mi w oczach od silnego uderzenia w głowę i zobaczyłem bardzo dużo gwiazd. Gdy oprzytomniałem, dotknąłem ręką głowy i przekonałem się, że mam dobrego guza.

— Spadło... — westchnął nosiwoda, — i to akurat na pańską głowę. Kawał cegły z tego domu budują...

Dobre mi szczęście przyniosły pełne wiadra! — pomyślałem, — niech w nie piorun trzaśnie! A to powtarzanie też na nic się nie zdało.

Pożegnałem nosiwodę skinieniem ręki i pobiegłem dalej, gdyż do odejścia pociągu pozostało tylko dziesięć minut, a do stacji był jeszcze dobry kawał drogi.

Już zbliżałem się do dworca, już słyszałem miarowy oddech lokomotywy, gdy nagle... zobaczyłem kota, czarnego kota. Szelma najeżył sierść, zgarbił się w pałak, prychnął nie gorzej od lokomotywy i właśnie zamierzał przebiec mi drogę.

— Niedoczekanie twoje! — syknąłem. — Cała moja sprawa w Warszawie w łeb weźmie, skoro mi przebiegniesz drogę!... Nie głupim!...

Zawróciłem szybko, w boczną uliczkę i starałem się dostać do stacji drogą okólną. Straciłem na tem znów sporo czasu. Nareszcie wpadam na peron i widzę, że... pociągu już nie ma. Spóźniłem się o pięć minut, chociaż kot mi drogi nie przebiegł. Gdybym nie był przesądny, byłbym zdążył.

Zmartwiony wróciłem do domu i pojechałem dopiero następnego dnia. Przyjeżdżam do Warszawy i... przypominam sobie, że dziś poniedziałek, a baba, która nam mleko nosi, mówiła kiedyś, że w poniedziałek, nie warto nic zaczynać, bo się nie uda. Łażę więc po mieście i czekam do wtorku. We wtorek wyelegantowany i z trwożnym biciem serca, idę załatwić swoją sprawę.

— Czy pan radca X jest w domu?

— Niema. Cekał na pana, lecz dłużej nie mógł i właśnie wczoraj wieczorem wyjechał. Pozostawił kartkę — proszę.

Drzwi się zatrzasnęły. Stałem długo na schodach ze wzrokiem wlepionym w elegancką wizytówkę ze złoceniemi brzegami. Na niej pan radca X raczył napisać: Z powodu pańskiej nieobecności, sprawy pańskiej przychylnie załatwić nie mogę..."